N^er 8. Kraków 19 lutego 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński i F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

O WPŁYWIE LITERATURY
na rozwój życia społecznego w Europie w historycznym zarysie

skreślił
Lucyan Tomasz Rycharski.

(Ciąg dalszy).

To widziano we Francji, Anglji i Niemczech. We Francji rozum i wyobraźnia przenikały się wzajemnie, oba zaś, życie społeczne od czasu Franciszka I, a jeszcze więcej po Fontenelle i Wolterze. Lecz uczucie zniknęło z literatury, jako i z życia, a geniusz ujarzmiony został zwyczajną regułą gustu, jak mowa prawem francuzkiej akademji. Kiedy zaś owo coraz więcej postępujące, jednostronne i bezczuciowe wykształcenie najwięcej towarzyskiego narodu w Europie, zupełnie się rozpadło wraz z feodalnym charakterem społecznego życia, oszpeconym bezprawiami wszelkiego rodzaju; wtenczas literatura w wywrocie wszelkich stosunków społeczeństwa nie wskazała żadnej ścieżki ocalenia. Gdyż jak życie w ogóle, tak i francuzkie piśmiennictwo, przybrało na się rewolucyjny charakter zimnego bezuczuciowego szału za sprawę wolności.

Coś podobnego było w Anglji, kiedy Purytanie i Independenci z ślepem odurzeniem oddali się idei równości bez prawdy, bez życzliwości. Dzisiaj jeszcze można widzieć tę samą dumę woli, ten sam brak człowieczego czucia w dzikich ruchach angielskich klubów ludowych, do jakich dali pochop mową i pismem Wilkes, Junius, Cobbett, Hunt i inni. Jak zaś innym okazał się ów uczuciowy Fox w publicznem życiu Anglików! He was born, to be lov'd, wyrzekł o nim Burke. W ogóle jednak panuje u tych wyspiarzy rozum, któremu służy wyobraźnia. Lecz angielskie uczucie wtedy tylko wywiera swój wpływ, kiedy się nie zaziębi obrachowywaniem korzyści i zysków lub dążnością do bogactw, dla których zdobycia wszystkie siły się pasują. Atoli geniusz utrzymał swą wolność, a życie społeczne Anglików, jeśli je wstrząsną wielkie siły duchowe i uczuciowe, pokazuje głębokie i wytrwałe postępne usposobienie tak dla dzieł wyobraźni, jako i dla powagi umiejętności i idei miłości ludzkiej. Ztąd ów zapał do klasycznej starożytności i muzyki, ztąd owo żywe uczucie przeciwne wszelkiej niewoli a pociąg do wielkiego postępu dobra ogólnego, ztąd wreszcie — czem żaden inny naród w tak wysokim stopniu pochlubić się nie może, ów ścisły związek między życiem obywatelskiem a społecznem!

W Niemczech oddawna władały w zakresie rozumu i wyobraźni zwyczajny obyczaj, ideał i uczucie, lecz często jednostronnie; ztąd też owo ostre przeciwieństwo w spekulacji i praktyce. W obu brakowało dążeń do jasności jako i płodów gustu i smaku. Atoli kiedy potęga idei i wolności sądu zostały uzasadnione, filozofja uświetniła się tryumfem niemieckiej siły myślącej. Po długiem zapomnieniu przywołała ona napowrót do życia, przynajmniej w ogólności prawdziwą ideę sztuki i uderzyła potężnie we wszystkie struny piśmiennictwa i życia, tak iż wielki akord ducha czasu, głos oświaty, przeniknął wszelkie stosunki. Klopstok zapalił wyobraźnią narodu do wzniosłości i głębokości; Winkelmann do starożytności; Goete obudził myśl wielkich postaci; Schiller ideału uczucia; Wieland powabu duszy i bogactwa ducha; Lessing wyjaśnił sztucznie umiejętną prozę, a jego krytyka uzasadniła dobry smak w literaturze niemieckiej!

Stosunek ten piśmiennictwa do społecznego życia, przyznać trzeba, w żadnym narodzie tak się nie rozwinął, jak w Niemczech. Kiedy Francuzi i Anglicy tylko pod niektóremi względami, jak w polityce, handlu, teatrze i zabawach — i to w ograniczony sposób, społecznie się znosili; literatura Niemiecka objęła wszystkie okoliczności i stosunki życia ludzkiego z żywym udziałem. Wychowanie i naukę estetykę i klasyczną literaturę, historją, podróże, prawo, ustawy, dobro ogółu i towarzyskie rozmowy, roztrząsano i przedstawiano już to w sposób ludowy, już też szkolny w mnóstwie pism czasowych i zbiorowych. Kiedy zatem intellektualna

i estetyczna kultura narodu odpowiednio postępowała, to i życie społeczne zyskało na obyczajowej treści, a objaw sądu wzmocnił i wywyższył siłę rządu!

Co do Polski, wspomnieliśmy już wyżej o akademji krakowskiej, która dając dowód przystępności kraju naszego wszelkim umiejętnościom i naukom, pierwsza najwięcej się przyczyniła do odbudowania ducha, ruchu i życia narodowego. Wspomnieliśmy o Koperniku, który wstrząsając ziemią w jej krańcach kolejach i kołysce, zatrzymując ciało niebieskie; zrujnował cały świat fizyczny a na jego gruzach wystawił gmach porządku i reguły, wytworzył ideę umiejętności i społeczeństwa nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie.

Nie wypada nam także pominąć Jezuitów, których metoda skoszlawiła wychowanie publiczne i wykształcenie, przytłumiła wszelki rozwój życia społecznego. Wprawdzie wielki Konarski wyrwał naród z obłędu i zawrotu, lecz nie umiał wzniecić tej iskry płomiennej, którą Kochanowski i Rej rozgrzewali pożycie narodowe, obciążył język i literaturę naszą francuzkiem klassycyzmem i jego formami. Wprawdzie zajaśniali mężowie, jak Mickiewicz, Krasiński i Słowacki, którzy zdarłszy z poezji jej grubą i twardą skorupę, wyłupili ziarno życia narodowego, rozwidnili ducha i ustalili ideę wolności; wprawdzie zabłysnął badacz dziejowy Lelewel, który rozjaśnił dość ciemny i zagmatwany widnokrąg historji i wpłynął na obudzenie życia społecznego Polski w jej polityce, kościele, obyczajach i zwyczajach, naukach i wszelkiej umiejętności, prawach i ustawach; ale naród nasz ujarzmiony i przygnębiony fizycznie i moralnie, rozdarty w trzech swych głównych odcieniach charakterystycznych, nie mający nigdzie wolnego źródła, gdzieby się mogły koncentrować żywotne jego kwestje, nie zdołał rozwinąć swego geniuszu w pełni wykształcenia pożycia społecznego, przymuszony uciekać się do obcych wpływów, nasiąknął obcemi zwyczajami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA SEN.

Rendez moi ma mère ou mon sommeil!....

Barbier.

Snu! snu! proszę, Mój aniele,
Miłosierny ty — mój biały,
Zejdź ty do mnie i na czoło
Połóż chłodną rękę twoją.
Ty wierz jakie tam się roją
Wiekuiste kreśląc koło,
Niepozbyte wizje, szaty!

Już śpią gwiazdy, po nad ziemią
Mgły wilgotnej wełny drzemią;
W dali motyl senny kona,
Ziemia dyszy rozmarzona,
Nad nędznemi i wielkiemi
Sen makowy liść rozwiesza;
Od niebiosów aż do ziemi,
Odpoczynku wielka cisza.

We mnie tylko gwar i łkanie;
Wzywam ciebie, Panie! Panie!
Z głębokości wołam smutny,
Bądź ty dzisiaj mi rozrzutny
I puść do mnie matkę moją.
Cicho! Idzie! Jak się boją
Jasnej Pani ciemne duchy!
Oto kruszy me łańcuchy,
Oh! excelsior! lekko! lekko!
Myśli moje, płyną cieką,
Jak rozlany nurt wiosenny
W kraj przeszłości mej promienny.
Jak upaja woń stepowa,
Oh dąbrowa!......
W tę dąbrowę
Kiedy słonko śpać się kładło,
W one moje dni wiosnowe,
Co mi stoją jak widziadło
Przed oczyma, W gaj zielony,
Rozmarzony, roztęskniony
Biegłem śpiewać, i piosence
Las zielony wtórzył echem,
Senne słonko, aże śmiechem
Zaniesione, czerwieniało
A to echo wciąż wołało,
Wciąż wołało, ażem senny
W wonnej przyległ — macierzance.
Wtedy, wtedy, po promiennej,
Po niebieskiej marzeń tkance
Aniołowie szli ach! brali...
I snom moim przywtarzali.
Przywtarzali nutą czułą,
Przywtarzali nutą trudną,
Co się snuło, co się snuło,
To i wspomnień teraz trudno!
Gasły, cichły rajskie głosy
Anioł strząsnął kroplc rosy,
Kropla rosy, ach psotnica!
Na płonące padła lica;
Ażem porwał się zalany
I do domu biegł przez łany.
A tam w progu już ktoś woła.

Sfrasowana, nie wesoła
Matuleńka i w ramiona
Chwyta, chwyta, utęskniona,
O! kochana! ach, kochany!...
Wykrzyk jeden, przerywany,
Całusami uściskami,
Aże kruczek się za nami,
O zazdrośnik! przypomina,
Pojdź tu bliżej, dobra psina....
Skomle, skomle! Gwiazdy gasną
Las paciorki szepcząc kończy.
Tst! krynica jak się sączy....
Święta woda! Wnet już zasną
Matuleńka, braciszkowie!
O dobra noc! i jak echo
O dobra noc! słychać w koło.
Całus jeszcze i na czoło
Krzyżyk kładzie matuleczka,

Gwiazda!... gwiazdka... och! gwiazdeczka,
I ta znikła... ciszej!... ciszej!
Tylko kruczek we śnie dyszy,
Tylko babcia pacierz kończy.
Tst! Krynica, jak się sączy....
Święta woda!........

Władysław Ordon.

TYTUŁ I SZKATUŁA.

Obrazek współczesny

przez

WOŁODEGO SKIBĘ.

(Ciąg dalszy).

VI.

BANKIER I BANKIERÓWNA.

W zdaniu jakie Stanisław wyrzekł o bankierównie nie było w istocie nic przesadzonego. Była śliczna, a przytem wychowana tak starannie, jak dziś swe córki zawsze arystokracja pieniężna wychowywać się stara. W twarzy jej było coś przypominającego wschodni typ i mimowolnie przywodzącego na pamięć ród, z którego pochodzili przodkowie Szpasów, ale było jej z tem tak do twarzy, że zdawało się iż nie byłaby taką ładną, gdyby nie ten odcień żydówki, który się przebijał w jej rysach.

I nie dziwilibyśmy się pewnie bohaterowi naszemu, gdyby widok jej uczynił na nim żywe, niezatarte wrażenie, ale nie dziwilibyśmy się tylko wtenczas, gdyby już poprzednio w miasteczku nie zbudował w swojem sercu przybytku dla innej.

W każdym razie, na obronę Stefana powiedzieć powinniśmy, że widokiem Malwiny nie upoił się od razu jak haczyszem, ani od niego nie zapalił się jak hubka, że pierwsze spojrzenie bankierówny nie wygładziło z jego serca wspomnień Heleny. Było to może tylko prostem znawstem z jego strony, że gdy się ukazała córka bankiera w towarzystwie swojego ojca, a on wraz z Stanisławem podniósł się z krzesła na jej powitanie, w krótkiej chwili oczekiwania nim go przyjaciel pannie Szpasównie i panu Szpasowi przedstawi, zdążył powiedzieć sobie w myśli:

— Stanisław nie skłamał... prześliczna!

Na obserwowanie ojca nie tyle miał czasu, bo też ojciec nie był bynajmniej tak sympatyczną i pociągającą postacią jak córka.

Bankier F. J. Szpas i spółka był dosyć pospolitym typem tego rodzaju ludzi w Warszawie.

Winniśmy przedewszystkiem wytłómaczyć, że jeżeli ojca Malwiny nazywamy „F. J. Spas i spółka,“ nie czynimy tego przez nieuwagę, przez jakiś *lapsus pennae*, ani też przez żart lub szykanę.

Ojciec ślicznej Malwiny był rzeczywiście w swojej jednej osobie, w liczbie pojedynczej, jako jedno niepodzielne indywiduum, zbiorową istotą, F. J. Szpasem i spółką. Kodeks handlowy w tem jest podobny do teologji, że tak tu jak tam jedna osoba może być wieloraką, nie przestając być jedną.

W krótkich słowach wytłómaczymy tę zagadkę.

Kiedy handel czernidła do butów *en gros* i *en détail* przyniósł już takie zyski, że F. J. Szpas fabrykant i handlarz szuwaksu, czy „szwarcu,“ jak go nazywają w Krakowie, mógł pomyśleć o rozpoczęciu interesu na większą skalę, F. J. Szpas, naówczas jeszcze znany w świecie handlowym bez dodatku *et comp.*, postanowił zawrzeć pierwszą spółkę pieniężną.

Nie była to spółka komandytowa ani udziałowa, imienna ani beziminenna, była to spółka o której przez pomyłkę prawodawców nie ma wzmianki w kodeksie handlowym, lecz są całe rozdziały w kodeksie cywilnym, jednem słowem było to małżeństwo.

Przez małżeństwo F. J. Szpas potroił swoją fortunę, a potroiwszy przestał się troszczyć o to, czy ludzkość chodzić będzie w dobrze czy w źle wywerniksowanem obuwiu, to jest, mówiąc innemi słowy zarzucił handel i wyrób czernidła.

Potrójna fortuna nie wystarczała jednak na założenie tego o czem F. J. Szpas marzył, na założenie banku; potrzeba więc było spólników.

*

Familja żony dostarczyła ich poddostatkiem, i wówczas powstała w Warszawie znakomita i wsławiona później firma F. J. Szpas i spółka.

Interesa tej spółki szły na zewnątrz bardzo świetnie i doszły aż do tego, że wszelki Rotszyld, czy paryski, czy wiedeński, czy frankfurcki, czy neapolitański, niezawahałby się dać na prosty świstek, podpisany formułą F. J. Szpas i wspólka, miljon franków w gotówce lub miljon reńskich papierami notowanemi na giełdzie.

Jeżeli jednak świetne były zewnętrzne interesa firmy, w wewnętrznych za to zachodziła pewna rażąca anomalja.

Kapitał spólników zmniejszał się w miarę tego, jak się powiększał kapitał spółki, naturalnie z wyjątkiem spólnika firmowego, bo tego kapitały rosły jak na drożdżach. Trwało to przez lat kilkanaście, aż wreszcie w drugim miesiącu po śmierci żony, w owej epoce gdy piękna Malwina miała zaledwie rok jedynasty, spólnik firmowy zawezwał spólników zawartych w formule „et comp“ na naradę, i na tej naradzie postanowiono, że spólnicy wycofują z interesu to co im pozostało jeszcze, i z spólników stają się wierzycielami firmy.

Firma jednak pozostała taż sama: „F. J. Szpas i spółka,“ bo w świecie handlowym bardzo niechętnie przystępują do zmiany firm, które już sobie kredyt europejski zyskać potrafiły.

(Ciąg d. n.)

BEDUINI
W SAHARZE.

(Dokończenie.)

— Karawana ciągnie przez pustynię. Wielbłądy muły i osły obarczone są podług sił swoich. Koń dźwiga jeźdźca, którego oko już od dni dwudziestu tęskni za łagodną zielonością palmy, a nawet tylko za widokiem kolczastego kaktusa, lecz widnokrąg nie przedstawia innego obrazu nad wiecznie czerwonawe wzgórza piasku, które z martwości swojej podobne są do uśpionych fal. Upał nie do wytrzymania. Człowiek przestaje potnieć, skóra staje się suchą i kruchą, dla utrzymania jej w pewnej giętkości wciera się w nią nieco oliwy, bez czego by z pewnością popękała. Oddech nawet jest utrudniony i wszystkich oczy wznoszą się do nieba, czy się też nie pokaże żaden trzeźwiący obłoczek.

Lecz w powietrzu żadnej chmury, atmosfera się zgęszcza, piasek rozpada, oddech ścieśnia.

Ale oto na zachodnim widnokręgu coś się mroczy. Może to chmura niosąca pokrzepienie? Nie — ten bowiem ciemniejszy pas zmienia barwę, staje się różowym. On coraz bardziej mknie wszerz i do góry, a z nim zmienia się błękit nieba. Z razu jest matowym, i prędko przeradza się w złowieszczo-zielonawy.

Wielbłądy i konie zaniepokojone podnoszą głowy, przewodnicy karawany oglądają się z trwogą, i tylko objuczone osły z pochyloną jeszcze głową postępują wymierzonym, spokojnym krokiem. Konie odwracają pyski ku zachodowi i roztwierają nozdrza, czują one, węszą, że ztamtąd idzie wiatr i cała karawana, jakby gnana instynktem zaczyna pośpieszać, i przy wzmagającym się niepokoju pewnoby się rozpierzchła, gdyby przewodnicy nie użyli całej swojej potęgi, by ją w kupie utrzymać.

Tymczasem czerwona ściana chmurna nie zachodzi, podnosi się ze wzrastającą szybkością coraz wyżej i wyżej. Słońce się skrywa za szarą zasłoną, tak że zaledwie przyświeca, ale przez to nie chłodnieje, przeciwnie upał, duszność, ciężkość powietrza zwiększa się, i prawie nie można oddychać.

Teraz piasek rozpoczyna wirowe harce, już tu, już tam, już ze wszystkich stron naraz — i oto zawiała burza stepowa z całą wielkością z całą grozą. Ale kto ją opisze?

Powietrze z razu zielonawe i szare, zamienia się na czerwone, rozpalone jak ogień, a słońce przegląda przez nię jak wszystko uśmiercająca, żarząca się kula. Niezmierne bałwany piasku przewalają się to do góry to nadół, pięć, dziesięć razy tak wysokie jak piramidy, cała atmosfera jest tylko przerażającem polem zapasów piasku i burzy. Wszystkie zwierzęta karawany doznały już ich niszczącego działania, i tylko koń, zaufany w swą siłę i szybkość, nie zważając już na cugle jeźdźca, zwraca się do ucieczki.

A burza nie ustaje, massy piasku wirują, ścierają się mięszają z sobą, aż się dzień w noc przemienia, w noc ohydną, rozżarzoną, wszystko chłonącą. Wszystkie istoty żyjące tracą przytomność i padają na ziemię, a tymczasem piasek burzy się coraz gwałtowniej, jedne góry giną, drugie powstają, a zaciętość się wzmaga, aż póki wszelkie życie nie zginie, nie zniweczy się do szczętu.

Następnego rana małe wyniosłości wskazują, gdzie zalegli snem wiecznym jeźdźcy i wielbłądy. Słońce pokazuje się znowu w całym swym majestacie, a pustynia staje się jeszcze bardziej wyludnioną, bardzinj martwą, jak przedtém.

Taka to potęga *samuma* raczej *samiela,* który starożytni, bardzo słusznie, złemu duchowi przypisywali.

Nareszcie wypada nam zapoznać się z mieszkańcami, ludźmi tej dzikiej i śmierć szerzącej krainy. Dla tej natury swojej pozostałaby ona zupełnie bezludną, gdy

by nie miala owych oazów, o których wspomnieliśmy wyżej i w których podróżni, przechodząc zdradliwie pustynie, w celach pobożnych pielgrzymek, handlu lub wkońcu rabunku, spodziewają się zawsze znaleźć schronienie. Przy tych warunkach, życie ich nie może być inne jak tylko koczujące.

Mieszkańcami temi są Beduini, pochodzą oni od Izmaela syna Agary i Abrahama; ród w każdym razie bardzo starożytny, ale przy koczującem życiu nie posiadający dziejów pisanych, lecz tylko tradycje familijne.

Życie samotne, pełne niebezpieczeństw, przy ubóstwie środków materjalnych, uczyniło Beduina nadzwyczaj wstrzemięźliwym, wytrwałym w znoszeniu trudów, gardzącym niebezpieczeństwy i gościnnym. W ciągłym ruchu i na zasadzkach Beduin stał się wojownikiem, miłośnikiem sławy, i poetą.

Lamartin, sławny uczony francuzki, w swojej podróży po Wschodzie, przytacza taki wiersz poety arabskiego:

„W ogrodzie Kalifa jest kwiat, którego szuka promień słońca przez sploty liści palmowych.

„Ten kwiat ma oczy słodsze od gazelli, oczy podobne do kropli wody morskiej w muszli.

„Ten kwiat ma zapach tak odurzający, że szeik, który ucieka przed włócznią innego plemienia, na klaczy od spadku wód bystrzejszej, czuje go w przelocie i zatrzymuje się, ażeby nim odetchnąć.

„Wiatr tymczasem wytrawia wszelką woń na szatach wędrowca, ale nigdy nie uniesienie z serca zapachu tego cudownego kwiatu.

„Można go znaleźć nad brzegiem strumienia, który bez szmeru u jego stóp przepływa.

„Młoda dziewico, powiedz mi imię twego ojca, a ja ci powiem miano tego kwiatu.“

Wrodzona chciwość i podstęp rozwinięty w Beduinie żądzą bogactwa i zdobyczy, a zaufanie we własnych siłach, natchnęło go zamiłowaniem niepodległości i swobody.

Oto na dowód tego co mówi Wężyk w swoich podróżach po starożytnym świecie:

„Na pustyni, o kilka mil od Damaszku, w miejscu, gdzie przypadkiem skwarne słońce nie dostrzegło trochy trawy i trochy błotnistej wody, śród stepów złocistego piasku, rżą konie, szarzeją się zdaleka namioty, bieleją śnieżyste tuniki Beduinów i błyszczą bagnety ich długich rusznic.

„Wnijdźmy pod namiot Emira Matrudy, hetmana 24 pokoleń koczujących, dowódzcy 50,000 ludzi.

„24-ro *letni Matrud* siedzi wpośrodku 24 wodzów w namiocie na obrady przeznaczonym. Czerwone *tarbusze* (czapki), białe *burnusy* (płaszcze) kształtnie udrapowane około nagiego i miedzianego ciała, żółte *babosze* (pantofle) na obnażonych nogach.

„Ich jedyną ozdobą i oznaczeniem broń bogatsza i znaczne na twarzy blizny, wszystkich twarze piękne, wejrzenie szczere, czoła wyniosłe, oko bystre, myśl, odwaga i godność ludzka w spojrzeniu. Matrud siedzi w środku.

– Witaj Matrudzie, przybywamy pod twój namiot, aby zasiąść z tobą pospołu do wieczerzy, odpocząć po trudach podróży i pobłogosławić twej braci, rodzinie i trzodzie.

— Bóg z wami Franku, witajcie w naszem gronie!

„Co za lud piękny, co za wyniosłe postawy! Jakie twarde ramiona, jakie pełne twarze! Znać pierwotne obyczaje, a każden patrzy śmiało w oczy, każden odpowiada hetmanowi jak starszemu bratu. Podasz mu rękę, on ci zaraz wyciągnie swoją; położysz ją na jego szyi i on się także swoją o ciebie oprze. Nawet w pałacu Mehmeda Ali wódz Beduiński siada w przytomności wice-króla, gdy tyle baszów i bejów liże mu nogi i w kącie stoi. Oto jedyna równość mogąca istnieć w świecie — rowność na pustyni.“

Pod wpływem niezależności i palącego słońca zemsta, rozkosz, miłość, zawiść, słowem wszystkie namiętności spotęgowały się w Beduinie, jak dzikie własności we wszystkich innych tworach pustyni. Śród nieustannej walki z niemi, trzeba mieć odpowiednie siły. Wszędzie widoczna przezorność natury.

Beduini mniemają, że z mózgu zabitego człowieka wzlatuje ptak *hamoéh* albo *manoch*, podobny do puchacza: „dajcie mi pić“ woła, i to tak długo, dopóki krew zamordowanego nie zostanie pomszczoną.

Równie jak namiętności, zmysły u nich, szczególnie wzrok i słuch są niezmiernie rozwinęte.

Skoro przyprowadzimy Beduina na miejsce, gdzie stał wielbłąd, to go on znowu wyśledzi, chociażby przeszło czasu nie mało, i tamże spoczywała karawana z tysiąca wielbłądów, idąca do Mekki; oznaczy jak głęboko trzeba kopać, by się dostać do wody, gdy tylko rozpozna grunt i rosnące na nim rośliny (Nibur). Po śladach stóp rozpozna, do jakiego szczepu ich właściciel należy, i wie, czy obcy czy pokrewny przeszedł po drodze. Po płaskości albo głębokości wyciśnienia odgaduje Arab, czy człowiek był z ciężarem lub bez, po wyraźności upatruje, czy podróżny dzisiaj, wczoraj lub przed wielu dniami szedł po tej drodze. Po pewnej regularności odstępów pomiędzy stopami wnioskuje Beduin, czy człowiek był zmęczony albo nie, i oblicza dalej, czy go można dopędzić. Dobry Beduin — przewodnik w czasie podróży ciągle i wyłącznie zajęty jest badaniem śladów i często zsiada z wielbłąda, ażeby się przekonać o ich własności. Ta znajomość śladów naprowadziła na odkrycie wielu potajemnych czynów.

Gościnność dla Beduina jest obowiązkiem świętym:

„Pewnego razu, powiada wyżej wspomniony Lamartin, biedna wdowa pod dach swój nas przyjęła; dla uraczenia, zabiła swego ostatniego barana i pożyczyła

chleba. Podczas wieczerzy oświadczyła nam, że jej mąż i jej trzej synowie zabici zostali w wojnie z Wahabitami, pokoleniem bardzo strasznem, w okolicach Mekki. Kiedyśmy wyrazili nasze zadziwienie z powodu, że się dla nas tak ogołaca: „Ten, który przychodzi do nas żywym, a nie je, wygląda, jak gdyby nawiedzał umarłego.“ —

Beduini wyznają po największej części religję Mahometańską, mają kapłanów *Marabutów,* którzy wielkiej używają powagi; zresztą religja w braku wszelkiej innej organicznej władzy jest jedynym dla Beduina hamulcem. Opisany rodzaj życia nie może się przyczynić do rozwinięcia umysłu, lecz wrodzony rozsądek, dowcip pojętność zastępują brak nauki.

Płeć piękna nie jest tak ściśle strzeżoną jak u innych mahometan. Taniec, śpiew, próżnowanie, opowiadanie powieści, których chciwie słuchają, palenie tytuniu, kawa, oto są przyjemności Beduina.

Pomiędzy zwyczajami zwraca uwagę zachowany w pokoleniu *Nedschéd beduinów;* tam witają gości wylewając mu czarę przetopionego masła na głowę. Obcego zwykle mianują stryjem, a ten odpowiada wyrazem brat.

Ubranie z materji wełnianych, tkanych rękami żon i córek, składa się z długiej, obszernej, białej szaty, zwanej *haik,* pokrywającej głowę; na wierzch wkładają szeroki płaszcz czyli *burnus;* włosy strzygą lub golą przy samej skórze, natomiast brodę starannie pielęgnują.

Życie prowadzą patryarchalne: jedna lub kilka rodzin, których głowa nosi tytuł *szeika,* stanowi zawiązek pokolenia czyli szlachtę, z pomiędzy nich obiera się starszy *kady,* rządzący całem pokoleniem; kilka lub kilkanaście pokoleń za wspólną zgodą ulega władzy *emira,* którego wpływ w miarę okoliczności i osobistych zasług, bywa niekiedy bardzo znakomity. Znany jest z ostatnich czasów jeden z najsławniejszych emirów: *Abd-elkader,* przez czas długi pogromca Francuzów w Afryce, następnie ich jeniec, a teraz obdarzony wolnością przez Napoleona III-go, swobodnie pędzi dalej na Wschodzie żywot pełen chwały i szlachetnych czynów. —

Aloizy Kuczyński.

PRZEGLĄD LITERACKI.

(„Życie Mozarta“ p. *M Karasowskiego* — Warszawa 1868. — *„Jan Mazepa“* Tragedja w 5 odsłonach p. *Witolda Bogdanko* — Poznań 1870.)

Coraz to mniej książek pokazuje się na stołach księgarskich. „Przyjaciele oświaty“ zażyli opium: a „Towarzystwo oświaty ludowej“ mimo mnogości członków dla braku kompletu zebrać się nie może.

Oto najnowsze dowody, że *ogół* czytającej publiczności trwa w całej pełni majestatycznego drukowstrętu.

Świetna czeka nas przyszłość!

Katylina niedołęztwa nie pukał na próżno do drzwi naszych. W lansadach wiedeńskiej polki *par force* wkroczyliśmy w krainę obskurantyzmu i dobrze nam — spijmy i bawmy się wesoło, a potem?....

Cóż nas to obchodzi — po nas potop będzie!

Bolesławita podał nam rachunek; zaprzeczyliśmy, bo któryż bankrut przyjmuje rachunki. Zdarłszy krwawo zdobyte laury z sędziwej głowy tego męża, nie wahaliśmy się wtłoczyć na nią ciernie, bo któryż hulaka pojmuje wdzięczność!

„Dziennik literacki“ ogłędniej choć z równą precyzją powiedział nam prawdę — ale to „Słowa na wiatr,“ któżby je czytał? Nie czytali ich pono nasi dziennikarze, którzy tylko prawione sobie androny pochlebstw czytywać zwykli.

W teatrze pustki ponieważ nie ma teraz ani menażerji, ani kuglarzy. Na przedstawieniu „Ojczyzny„ owego dramatu Sardou przejmującego grozą i zapałem do szpiku kości, publiczność ziewała pomimo, że artyści według zdania wszystkich krytyków grali wybornie.

Tresowane zwierzęta inny zupełnie wpływ wywierały. —

W Muzeum Techniczno-Przemysłowem na wykładach popularnych—pustki. Słowem bezprzykładna apatja na każdym kroku jeżeli ten nie stawia się na froterowanej posadzce.

Zaciągnąwszy fakta w naszą rubrykę przechodzimy do rzeczy.

Z dwóch leżących przed nami książek „Życie Mozarta“ zasługuje na wysokie uznanie. Znany czytelnikom naszym autor rozbieranego na tym miejscu „Życia Szopena“ zadał sobie prawdziwie mozolną pracę aby z porozrzucanych materjałów zestawić życie najgienijalniejszego z muzyków.— Dziełko p: Karasowskiego jakkolwiek zwięźle bardzo napisane wyczerpuje przecież najdrobniejsze szczegóły krótkiego lecz pełnego krwawych walk życia Mozarta. Urodził się on w 1756 r. w Salcburgu gdzie ojciec jego był kapelmistrzem katedralnym. Żył tylko lat 35 a z tych 31 cieszył się sławą najznakomitszego muzyka i kompozytora. W 6 już roku życia wyjechał z ojcem i starszą o 5 lat siostrą w podróż artystyczną po Europie i wszędzie obudzał cześć i podziw najpierwszych znawców, królów, książąt i całej ludności. Monachium, Wiedeń, Praga, Paryż, Londyn, całe Niderlandy i Italja podziwiały twórczość jego i grę porywającą. Mimo to jednak i mimo przyjaznych stosunków z Monarchami stawał się Mozart celem złośliwych pocisków, ofiarą zawiści i nieraz cierpieć musiał wielki niedostatek. Umarł 1791 r. niezna-

lazłszy w Ojczyźnie swojej pięknej ziemi, którąby ciało jego przyjęła. Pogrzebane we wspólnym dole prochy jego dotąd nie mogą być odszukane.

Po Byronie i Słowackim podjął nieznany dotąd p. *Bogdanko* śmiałą zaistę myśl udramatyzowania postaci *Jana Mazepy,* Taki debiut literacki świadczy wymownie o zaufaniu jakie autor w siłach swoich pokłada nie wahamy się też przyznać, że zaufanie to nie jest bez podstawy. Świeżość uczucia, ognista siła i gładkość formy są zaletami dramatu p. Bogdanko świadczącego wymownie o jego pisarskim talencie. W „Mazepie“ p. B. pulsuje życie, osoby są dobrze uformowane i każda z nich wie czego chce, każda zadaniu swemu odpowiada. Co do artystycznej wartości to porównywać dramatu p. B. z dramatem Słowackiego niepodobna, ale przyznać należy, że nie ustępuje on wielu nowym naszym koryfeuszom dramatycznym u których po za szumną deklamacją i wystudjowanym na zimno wierszem trudno znaleść choć iskierkę życia lub czynu na scenie.

Oddawszy słuszność p. Bogdanko zwrócić uwagę należy że dramat jego bez przerobienia na scenę pójść nie może, a to dla powodów technicznych. Pokawałkowanie bowiem utworu na ciągłe zmiany warunkom sceny nie odpowiada. Publiczność znosi to w dramatach Calderona lub Shekespeara, ale te dramata pisane były 300 lat temu, z resztą co wolno Shakespearowi to nie wolno p. Bogdanko.

O.....le

Kronika. — *Popielec podobno nas nie minie. — Hulaj dusza we fraku! — Szkoda, że karnawał nie wieczny. — Bal akademików i bal Prezydenta (w perspektywie). — Ludzie się bawią i ludzie marzną — uwaga, z którejby Victor Hugo zrobił piękny afforyzm. — Emigracja głodna jest. — Galicja o niej pamięta.*

Jakkolwiek karnawałowe usposobienie Krakowa trwa jeszcze w całej swojej sile — na twarzach balującej młodzi znać przecież bezsen i zmęczenie. Karnawał to jak bankrut— szaleje najwięcej wtenczas, gdy nazajuturz ma zawiesić wypłaty! To też ku końcowi, jak to mówią, na dobitkę.... nawet domy prywatne z okazji nieśmiertelnych początków otworzyły podwoje, aby gwarem zapełnić ciche i nudne życie człowieka. Przy pączkach toalety, muzyka i dodatki do przyjęcia gości świece stearynowe i wyfroterowane posadzki — wszystko to idzie na budżet pokuty ścisłego postu popielcowego. Ośm przeszło tygodni sztucznego życia, to dosyć poważna rubryka.... a kto był tyle szczęśliwy i uniknął *deficytu*, niechże dziękuje Opatrzności i spieszy dać na mszę św. za szczególniejsze względy Fortuny....

Ale od czegóżby był karnawał jeżeli nie dla tego, aby się ubawić za wszelkie czasy, za złe czasy, ma się rozumieć. To też Towarzystwo Strzeleckie, które Bóg stworzył dla wszelkiej rozrywki, jako to: strzelania do celu, majówek, preferansa i (w karnawale) balów; nie mogąc pomieścić się jak przyzwoitość każe w jednej sali królewskiej, dobudowało na prędce bufet, — aby przecież zaimponować światu jakim czynem, godnym nieśmiertelności w dziejach potomnych pokoleń. — Bal więc strzelecki należy do rzędu faktów, nie tak prędko zacierających się w pamięci....

Na schyłku rajskich dni wesela, zapowiedziano nam jeszcze bal Medyków i bal officjalny Prezydenta miasta, pierwszy ma za sobą tradycje i uczącą się młodzież, dla której tańcujący nasz patryotyzm zawsze gotów do ofiary.... za drugim przemawia to chyba... że się wstępu nie płaci. — A że oszczędność przedewszystkiem a po niej dopiero idą dobre uczynki, jest więc prawdopodobieństwo, że bal Prezydenta będzie miał liczniejszych zwolenników niż młodzież ucząca się.

Doprawdy nieraz już wyrzucałem sobie, żem za wiele może mówił w moich kronikach karnawałowych o balach, redutach i zabawach, — alеż bo o czem pisać? Zaledwie nos wychylisz na ulicę pełno śniegu — a ludzie marzną od zimna! — Śliczne rzeczy! gdybym wam chciał zatruwać życie przypomnieniem nędzy, której przy skonaniu nie przygrywa nawet cygańska muzyka. A pełno tej nędzy u nas — nędzy w łachmanie łaknącej nie już tłustego pączka — ale centowej bułki. Podobno kilku takich biedaków zakończyło już swój karnawał — w Szpitalu... Gdyby nie ochrony, zakłady dobroczynne, domy miłosierdzia i ogrzewalnie miejskie a przedewszystkim szpitale, sumienie ludzkie byłoby narażone na pewne nieprzyjemności.... a i tak nawet emigracja ręczę, że chociaż się nie odzywa będzie do nas mieć odrobinę żalu — jeżeli w skutek wydatków zapustnych, coroczny datek, jaki pobiera z Galicji zmniejszy się trochę...

Czytając to szanowny czytelniku gotów jesteś posądzić mnie, że mam ochotę ganić nasze uprzywilejowane szaleństwa i w tonie mentorskim powiedzieć ci coś w dodatku o nieśmiertelności duszy. — Bądź spokojny! — Wszakżem nie lepszy od innych.

(„Ojczyzna“ dramat w 5 aktach p. *Sardou.* Dokończenie).

(„Dziedzictwo“ czyli „Kamień probierczy“ komedja w 5 aktach p. *E. Augier* i *J. Sandeau.)*

Przedstawienie dramatu „Ojczyzna,“ którego nadzwyczaj zajmującą treść podaliśmy w przeszłym numerze, powiodło się nadspodziewanie, sumienne bowiem staranie dyrekcji i artystów pokonały niezwykłe trudności.

P. *Hoffmann* (donna Dolores) zżyła się niejako z charakterem swej bohaterki i oddała go z całym zapałem i prawdą. Przejęcie się istotą rzeczy było widoczne, a to główny warunek powodzenia dla artystki grającej tę rolę. Obszerność jej spowodowała kilka drobnych błędów, z których dwa tylko zasługują na podniesienie, a mianowicie dykcja: na początku 2go aktu i w końcu 5go nie dość namiętnie wibrowała i akcja rąk w tychże miejscach nie dość okrą-

gło była rozwiniętą. Układ fizjonomii nic zostawił nic do życzenia a sceny z mężem w akcie 2gim i z ks. Albą były mistrzowskie.

P. *Parźnicka* (donna Raphaela) zasłużyła także na zupełne uznanie, rola jej bowiem acz krótka wymagała niepoślednich usilowań, którym p. P. odpowiedziała jak zwykle w zupełności. Prosimy tylko na przyszłość o bardziej chorobliwe ucharakteryzowanie twarzy i ócz.

Beneficyantka tego dnia p. *Marcellina Eker* (Sarah) krótką swoją przedśmiertną tyradę wygłosiła bardzo prawidłowo i z ogniem.

P. *Benda* (hr. Rysoor) w roli poważnej i na wskróś tragicznej zdumiał nas grą wyborną. Bohaterska postać idealnego patrjoty przypominająca nam żywo te spiże co zalegają pole Lenktry i Termopilskie skały, została przez p. B. doskonale pojętą. Największą zaś jest jego zasługą, że w charakterze wytrwał logicznie, bez zacinania reminiscencjami właściwego swego fachu.

P. *Ładnowski* (Karloo van des Noth) znajdował się w swoim żywiole, gra jego odznaczała się precyzją i pociągającym ciepłem. W ostatniej jednak scenie z Dolores należało rozwinąć więcej wewnętrznego chaosu. Zą nim leżą zabite nadzieje, skrwawiony własną ręką trup oszukiwanego przyjaciela i na nowo skowana Ojczyzna. Przed nim goreją stosy a na nich konają w piekielnych mękach Bakkercel, Cornelis, Gallena i inni wspólspiskowi — „Karloo zdrajca," to ostatni dźwięk tych ust co za chwilę zamrą na wieki, „Karloo zdrajca," co za okropne słowo dla niewinnego; winny stoi przed nim, to ukochana Dolores, oko jej plonie ogniem miłości, żądza przepełnia tę pierś z marmuru w której Karloo za chwilę sztylet utopi.... Oto summaryczny charakter sytuacji, tej jednej chwili zatopionej w otchłani delirjum rozpaczy. Tylko cierpliwości a p. Ładnowski po otchłani tej tryumfalnie żeglować będzie!

P. *Eker* (la Tremonille) grał w przeważnej części zadawalniająco, zwracamy jego uwagę, że dowiadując się od Rysoora, że to właśnie rozstrzeliwają takich jak oni heretyków, nie lekko i pobieżnie ale z powagą i czcią winien uchylić kapelusza i powiedzieć odnośne słowa roli.

Z p. *Wolskim* (ks. Alba) zgodzić się w żadnym punkcie nie możemy. Był on w tej roli wielkiej doniosłości, nie Albą, nie kawalerem złotego runa, grandem hiszpańskim 1ej klasy i samowładcą 3ch miljonowego ludu, ale tylko zirytowanym Cześnikiem, tylko Cześnikiem! W scenie ratuszowej występuje Alba w zupełnej zbroi, białym płaszczu i z buławą.

Panom grającym role *Vargasa*, *Noircarmes* i *Delrio* radzimy mniej pospolitej pokory w obec Alby a więcej dumnej choć płaszczącej się dworackiej chytrości.

Komedja pp. *Augier* i *Sandeau* p. t. „Dziedzictwo" jest właściwie nader interesującym dramatem osnutym na tle zmienności usposobień człowieka słabego charakteru i miernego serca. Temat to wprawdzie zużyty; olśniewający jednak żywością charakterystycznych barw; koloryt i prawdziwie artystyczny rodzaj expozycji, nadają utworowi znakomitej literackiej spółki, niepospolitą wartość i zapewniają mu długie jeszcze powodzenie na scenie.

W szrankach komedji staje pięć wyśmienitych typów pochwytanych niemal na gorącym uczynku. Z zetknięcia się ich powstaje cały szereg charakterystycznych sytuacji, pełnych życiowej prawdy i powiązanych organicznie w całość.

Malarz Wagner (p. Ładnowski) od pierwszej zaraz sceny staje przed nami zupełnie do dalszego przebiegu przygotowany. Niedbałe rzucanie się na kanapę i wstręt do wszelkiego ruchu znamionują człowieka bez energii, bez woli pracy, radego przebyć życie cudzym kosztem. Narzekania na los i szumne plany postępowania jeżeliby został bogatym, zdradzają czczego deklamatora zmieniającego kolor z dnia na dzień stosownie do potrzeby lub fantazji. Los ślepy daje mu majątek, którego używa na próżne zachcianki, na kupienie sobie tytułu barona i wstępu do towarzystwa arystokratycznego. O narzeczonej i przyjacielu zapomina choć dawniej wszystko im zawdzięczał, ci też za wstrętem i pogardą odwracają się od niego.

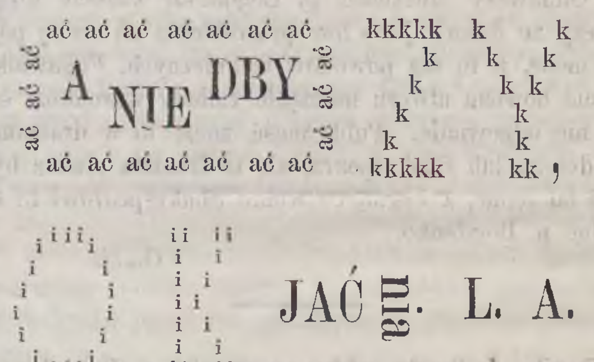
Wprost przeciwną postać artysty malarza Spiegla, pełną jędrnej siły uczucia, swobody i humoru, oddał p. *Benda* z właściwą mu w rolach tego rodzaju werwą. Ze zbyt wyrazistego barokowania niektórych ustępów zarzutu p. B. robić nie będziemy, bo w tym wina autorów dających tej roli taką podstawę.

P. *Parźnicka* (Fryderyka) wyczerpała aż do dna zasoby swej roli, ogół i uczuciowe detale jej gry, charakterystyka zewnętrzna a nawet odpowiednie kostiumy, świadczyły o jej artystycznym poczuciu tego co jest prawdziwe i piękne.

Panna Bendówna (Berta) którą tak rzadko widujemy na scenie p. *Wolski* (baron Berghausen) i p. *Wolska* (hr. Rosenfeld) w końcu zaś p. *Siedlecki* (Gottlieb) przyczynili się każden w swoim zakresie do świetności wieczoru.

O...le.

REBUS.



Znaczenie rebusa w N. 7. **Zawsze dobrze zastanowić się trzeba zanim się co powie.**

Znaczenie Szarady **Kas - san - dra.**

Najpierwsze trafne rozwiązanie nadesłali z Krakowa: Pani F.... z ulicy Wiślnej. — P. Józef Zgłobiecki 16 Rynek. — P. Bolesław Spieberg. — P. Zofja H. ulica Zwierzyniec.

Od Redakcji.

Do dzisiejszego Nru dołącza się ogłoszenie przedpłaty na dzieło p. *M. J. Konstantynowicza.*

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *St. Gralichowski.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego 1870.